



MKD 51486

PROMIEN SZKOLNY

DWUTYGODNIK
WYDAWANY
PRZEZ UCZNIÓW
GIMNAZJUM
T. CZACKIEGO.

Nr 3.

15 grudnia 1938 r.

Rok VIII.



* * *

Niestety z przyczyn od Redakcji niezależnych listopadowy numer «Promienia» nie mógł ukazać się na dzień dwudziestolecia Odzyskania Niepodległości.

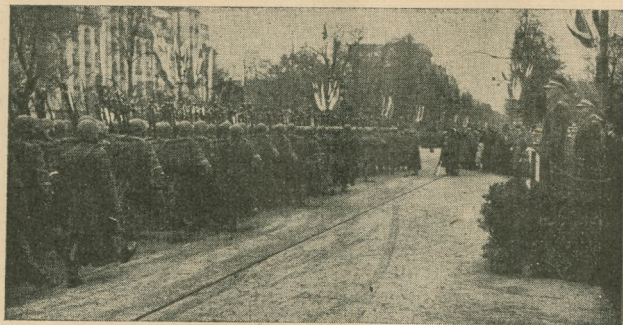
Nie będziemy już powtarzać tych wszystkich słów, które rozbrzmiewały przez radio, przemawiały do nas ze szpałt dzienników i pism, wołały przez usta prelegentów na uroczystych akademiach. Jesteśmy przepełnieni tymi słowami. Na pewno często nawet gubimy się w tym nawale słów, gestów, zewnętrznych form.

Nie zrażajmy się jednak formami zewnętrznymi. Każdy z nas ma głęboko w sobie prawie wstydliwie ukrytą pewną iskierkę najwznioślejszych uczuć, które tkwią w pogotowiu i w chwilach krytycznych łatwo rozpalają się w płomień. Czyż jest coś wznioślejszego i piękniejszego od milionów płomieni złączonych w jedno wielkie uczucie miłości do Polski?

W. S.



XX-lecie Niepodległości w Cieszynie — Pan Prezydent R. P. prof. dr Ignacy Mościcki wręcza na placu ćwiczeń w Cieszynie Zachodnim gen. Władysławowi Bortnowskiemu insygnia orderu Polonia Restituta.



Wojska Polskie w defiladzie przed Marszałkiem Rydzem-Śmigłym w dniu 11 listopada 1938 roku.

«Zawsze wierny Tobie Polsko».

Korespondencja ze Lwowa.

Dzień Wszystkich Św. Jesienne promienie słońca ozłacały gotycką bramę cmentarza Łyczakowskiego, zdobiąc jej smukłe wieżyczki tęczowymi barwami. U dołu popod ostrołukami wejścia czerni się przepływająca masa ludzi. Zaraz po wejściu rzuca nam się w oczy oryginalny charakter cmentarza lwowskiego. Nie widzimy tu wcale prosto wytyczonych i ponumerowanych alei cmentarza powązkowskiego, uderza wzamian malownicze położenie grobów wśród pagórkowatego terenu o gęstym zadrzewieniu.

Po zwiedzeniu lewej strony cmentarza, gdzie zgrupowane są groby ludzi zasłużonych na polu piśmiennictwa i sztuki i gdzie czytamy nazwiska takie jak: Maria Konopnicka, Gabryela Zapolska, Goszczyński — wieszcz i literat, Gawalewicz — dyr. teatru lwowskiego — poeta i literat oraz wielu innych, kierując się ku grobom powstańców 31 i 63 roku. Proste, żołnierskie mogiły kilkoma rzędami okalają wspólny grobowiec opatrzony napisem «Weteranom wojska polskiego».

W dalszej mej wędrówce przechodzę przez cmentarz nowoczesny w kierunku grobów «Obrońców Lwowa». Na skraju niepozorny pomnik; na szarej kamiennej płycie czytamy napis «W tym miejscu poległ w obronie Lwowa Jurek Bitschau dn. 20 listopada 1920 roku. Nareszcie cel mej wędrówki — białe mury z napisem «Cmentarz Obrońców Lwowa». Cmentarz ten posiada charakter zupełnie różny od pozostałej części grobów, jest on jakby wielką świątynią z prochami bohaterów — widowym dokumentem polskości Lwowa. Każdy grób jest tu pieczołowicie utrzymany, wszystko tchnie porządkiem, żołnierską prostotą, tworząc całość piękną i harmonijnie zespoloną.

Zapoznajemy się jednak bliżej z mogiłami orędowników wolności; powolnym krokiem podchodzę do pierwszego krzyża i czytam «Miechońscy — cała rodzina wymordowana podczas bohaterskiej obrony Lwowa, użyłniwszy krwią, swoją ukochaną ziemię pod zasiew wolności», dalej cały szereg prostych krzyżów z małymi polskimi orzełkami, przy każdym wyryty krwawymi zgłoskami napis. Czytamy dalej: Ewa Trzcńska — skautka — ofiara rzezi hajdamackiej, por. Mazanowski — na kamiennej płycie szereg odznaczeń i słowa: «Na wiosny idącej gody, ujawszy ciężki swój młot, wykuję jeden dzień młody i jeden najwyższy lot». Ramię przy ramieniu leży szereg żołnierzy złączony braterskim uściskiem śmierci ze swym dowódcą: Tadeusz Cieński — senator, hr. Aleksander Skarbek, gen. dywizji Iwaszkiewicz, gen. Tadeusz Rozwadowski, Jan Tara — kawaler orderu Virtuti Militari, podpułkownik i wielu, wielu innych. Nad całym cmentarzem góruje



Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Marszałek Śmigły-Rydz oraz członkowie rządu, po złożeniu w dniu zadusznym wieńców na stopniach Belwederu na znak hołdu pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego.



Symboliczny moment zapalenia w wigilię Zaduszek ogni na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie przez przedstawicieli Związku Legionistów i Peowiaków oraz organizacji b. wojskowych.

kaplica Orląt, po bokach katakumby i dwa pomniki. Jeden z nich ku czci Amerykanów, poległych w obronie Polski w latach 1919 i 20-m; na drugim czytamy napis «Bohaterom Francuzom, poległym w obronie Rzeczypospolitej Polskiej» tu spoczywa szeregowiec 57-go pułku piechoty Jean Laronet poległy 1920 r.; towarzysze jego zabrani zostali już dawno do swej dalekiej ojczyzny — ten czeka daremnie.

Sercem cmentarza są katakumby, tu spoczywają zwłoki najmłodszych żołnierzy Polski — Orląt lwowskich; wśród całej litanii nazwisk czytamy: Petrzykiewicz Antoni — lat 13 ucz. II kl. gim., Jabłoński Tadeusz — lat 14 ucz. III kl., Halura Wilhelm — lat 15 ucz. VI kl. gim. Konopka Kazimierz — szesnastoletni uczeń VII klasy, Kozłowska Stefania — lat 17 — sanitariuszka i całe zastępy innych.

Wydaje się patrząc na te nazwiska z odległości lat kilkunastu, że w tych drobnych prochach drzemią lwie serca, że to uśpione olbrzymy gotowe stanąć na pierwszy zew do walki o wolność i niepodległość. W dole rysuje się sylwetka grobu nieznanego żołnierza i wielkiego łuku z napisem «Mortui ut vivamus». Symboliczne lwy lwowskie dzwigają tarcze z napisem «Zawsze wierny Tobie Polsko» — słowa pełne głębokiego znaczenia, słowa pisane krwią bohaterów.

Jerzy Uzdowski kl. I lic.

HYMN MOCY.

Mgła węglowa i ziemia węglowa
Chowa czarny skarb do wnętrza,
Paszczą kominów wypiętrza
Swą pierś i w laur chowa

Swą skroń... Słyszysz młoty?

Potworna hut rozmowa,

Dialog piekieł, wulkanów grzmoty

To Śląsk!

Węglowa mgła, węglowe chmury suną,
Pył w oczy dmie, że aż powieki bolą...

A w czarną noc palisz się wielką łuną,

A w czarną noc podobnyżes piorunom,

Gorejesz krwi aureolą

Ty Śląsk!

A w szary dzień, aż trzęsiesz się łoskotem:

To maszyn huk rozbrzmiewa triumfalnie,

To z ziemi hen roznosi się pogrzmotem

Górników hymn, to pracą wrą kopalnie...

A każdy ciągnie pełnią sił,
Porywem serca,
Wśród czarnych węgla brył
Tunel przewierca.

Tunel, droga, czarny szlak...

Pracujący w dymu chmurze

Torują drogę kulturze

Chorobą płuc.

To Śląsk

A w szary dzień pałasz stopioną lawą...

Lśni iskier deszcz i czarodziejsko świeci.

A w szary dzień upajasz się kurzawą,

Co z ziemi złóż pod niebo kędyś leci.

O tak, o tak, niech praca ta nie kona...

O tak, o tak, wybija młotów takt.

Niech mocą drżą żelazne te ramiona,

Co w głębi ziem torują ludziom szlak.

Tu maszyn gwar... Niech w zgodny hymn uderzy,

Niech rzuci zew, królewskim zagrzmi tonem,

Że wstaje moc na czarnej tej rubieży,

Że próżno wróg swym ostrzem w serce mierzy,

Bo wolność Śląsk jedynie odda z zgonem.

Królewski rytm: młociska, tryby, koła...

Królewski rytm w kopalni, szybie, sztolni...

Królewski rytm najczystszym tonem woła:

Potęgo chodź? Żądamy ciebie — wolni!

Kontrasty barw: pali się białą lawą

Szlachetna stal, ognista, żaropłynna...

Kontrasty barw: czerni się dym kurzawą,

Krwawi się dom, i słońce błyszczy w rynnach...

Tam cegieł stos, tam hałdy barwa siwa,

Wagonów wąż, wzdłuż mosty, tory, szyny...

Tu szereg hut, tam składy żelaziwa,

Przewodów pęk i wszędzie te kominy.

A wszystko gra, a wszędzie drżą maszyny

To Śląsk!

Ślązaków lud — to postać męczennika...

Ślązaków lud — bohater pełen sił...

Osiemset lat miał postać niewolnika...

Osiemset lat patriotyzm w sercu tlił.

A później wstał i rwał niewoli pęta,

Skąpany w krwi, zwycięstwa wiarą żył...

Ślązaków lud Ojczyznę swą pamiętał,

Dla niej się bił.

A dziś? I dziś nie zamknął dziejów księgi:
Z legendy wstał, w legendzie pragnie iść...
Ślązaków lud, wzór wiary i potęgi
Nie stroi czół w wawrzynu zwiędły liść.
Dziś nowy czyn, dziś ujął trud za bary,
Podźwignął młot, pochwycił szybki rytm.
Ślązaków lud potężne ma zamiary:
On kuje dziś współczesnej Polski mit.
On kuje moc, on zapał w nas przelewa,
On uczy chcieć, on spełnia nasze sny.
I w dzień i w noc melodią hut rozbrzmiewa,
I w dzień i w noc wysiłkiem zgodnym drży.
Jak serce wciąż pulsuje, drga i bije,
Zakuty w stal, zwrócony tam gdzie wróg,
On musi żyć, bo przecież wraz z nim żyje
Nasz cały kraj. On kuje miecz i pług.
Kominów las zachwycą i porywa,
Węglowa głąb podnieca i olśniewa...
Z nad czarnych miast jęk syren się odzywa
I stukot kół — to Śląska ziemia śpiewa.
To śpiewa Śląsk! Zew pracy! W dzień i w nocy
Niesie się grzmot: hymn polskich sił i mocy.

To Śląsk!

A za tę krew, a za te bitew pola,
Za ducha hart, męczeński los przeszłości,
Ognista łun pali się aureola...

Stygmat świętości.

A. Trzebiński.

W. Stankiewicz.

«Na łów, na łów, na łowy, towarzyszu mój!»

Było już na tyle widno, że zgasiliśmy reflektory. Szosa nie migotała więcej złotawymi, rozproszonymi blaskami. Roztopiły się i wsiąkły w szare światło poranka cienie przeskakujące z drzewa na drzewo. Rozwiał się nocne półrealne kształty. Z nastającym dniem, w bladej zimnej mgławicy, szosa wydawała się niezmienną jednostajnością. Z cichym szelestem ścierał suwak przednią szybę wciąż pokrywającą się kropelkami deszczu. «Trafik» przebudził się i wsadził łeb w półotwarte okno. Za oknem przesuwwały się szare jesienne pola i różnobarwne żółto-czerwone lasy. Szedł od nich wiew zwie-

rzyny. Pies przeczuwał bliskie łowy — z wysuniętym pyskiem trwał w bezruchu, aż natykał się zbyt dużo cudownej woni lasów i wichru... i kichał odtąd przez całą drogę.

Lśniąca, śliska droga raptownie zarzuciła naszą Chevoletkę. Uczuliśmy się poderwani i wleczeni w kierunku na rów. (Co za siły przyciągające posiadają drzewa i rowy!). Maszyna została w porę osadzona na miejscu. Trzeba było jednak zwolnić tempo — wóz niepewnie trzymał się drogi, zataczał się na zakrętach.

Za Sochaczewem uśpione wioski Brzozów, Sanniki, Gąbin. Droga zastana różnobarwnymi liśćmi. Krajobraz wyłaniający się z mlecznych mgławic. Wreszcie łąck. Stajemy przed leśniczówką. Trafik, jak oszalały wypada z auta i pędzi w las.

* * *

Krążymy po wąskich leśnych ścieżkach, po polnych drogach z miotu na miot. Odbite przez ściany lasów, wielokrotnie powtarzane, brzmi echo każdego strzału. Przemykają spłoszone zajęce i kuropatwy. Od strony zagajnika słychać świst i pokrzykiwanie naganki.

Na polanie siadł bażant. Żłocistą czerwień jego upierzenia trudno odróżnić od podobnych kolorów liści. Skrada się trzech myśliwych. Jednocześnie padają trzy strzały. Nie sposób odgadnąć, kto trafił.

W pewnym miejscu poderwała się słonka, leciała po linii strzelców. Po czterech wystrzałach zawirowała i spadła w las, zahaczając o drzewa. Nim zdążono dopaść poderwała się i tajemniczym sposobem dzikich zwierząt zniknęła w gąszczach.

Niebo nad nami wciąż szare, lecz górne poszumy lasu, przenikliwa woń sosen, przezroczyste wielkie krople na igliwiu, szelest zeszcłych liści — stają się jedną wielką radością.

Tutaj ze wstydem muszę się przyznać i może wywołać oburzenie moich wujów, zapalonych myśliwych, że ta moja radość nie ma nic wspólnego z ich podniecią na widok zmykających zajęcy, zrywających się słonek, spadających pięknych bażantów. Drży serce nieszczęsnego szaraka, pod wesółymi delikatnymi piórkami ptaków bije serduszko w śmiertelnej trwodze, gdy rozbrzmiewa trąbka łowiecka, gdy słychać granie psów, nawoływanie naganki, a na linii ich ucieczki i odwrotu stoi rząd uzbrojonych, miotających śmiercionośny śrut. Jakoś trudno dzisiejszym europejskim myśliwym zanucić «na łów, na łów, towarzyszu mój!» W ich zwycięstwie nie ma tryumfu, gdyż nie ma elementu niebezpieczeństwa, nie ma walki, nie ma równych szans. Ot, taka sobie zabawa, nieudolna parodia przebrzmiałych łowów, które stara się naśladować wygodny i snobistyczny Europejczyk. A może ta «żyłka myśliwska», to

podświadoma nostalgia do wieków minionych, gdy dawna Polska szumiła lasami, gdy w myśliwstwie był jeszcze moment wysoce rycerski, homeryczny: często bezpośrednie zwanie się myśliwca z dziką bestią — zmierzenie się dwóch sił. Może!...

* * *

Po myśliwskim śniadaniu (Gostynin, restauracja pani Stasi-kowej odznaczonej krzyżem zasługi) jedziemy do Kutna. 23 kilometry przebywamy w 45 minut. Nie widać dosłownie nic. Przy zapalonych przeciwmgielnych reflektorach majaczy niepewnie skrawek szosy. Jazda jest na wycucie, instynktowna. Nareszcie Kutno. Przypomina mi się ni stąd ni zowąd:

*«Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym odrazu
Zamieszkałbym sobie w Kutnie lub Sieradzu;
W Kutnie, lub Sieradzu, w Rawie lub w Łęczycy
W parterowym domku przy cichej ulicy.
Tam koguty rano po opłotkach pieją,
Tam sąsiedzi dobrzy tyją i głupieją»...*

Piękna perspektywa... Ten wierszyk dokładnie odpowiada rzeczywistości. W paru słowach charakteryzuje całą istotę życia, rację bytu pocziwych obywateli — «tycie i głupienie».

Minusem Kutna jest wielkie oddalenie dworca od centrum miasta. Plączemy się z naszym autem dłuższy czas po ciemnych błotnistych uliczkach, pytamy, zawracamy, znów pytamy, jedziemy od rogu do rogu, od ulicy do rzeki, od rzeki na plac. Nigdzie nie ma mostu. «Dobrzy» Kutnianie (każdy z natury jest dobry!) radzą nam w bród przebyć strumyk, na co stanowczo się nie zgadzamy. Wszystko ma swój koniec, nasze błąkanie się też! Na dworzec przyjeżdżamy w świetnych humorach. Do sali bufetowej wnosimy troki ze zwierzyną. «Trafik» poczyną skwapliwie węszyć za bufetem.

Drzemiący kelnerzy ożywili się odrazu, poczęli okazywać psu łagodną wyrozumiałość. Wzięli w opiekę ptaszki i zajęce. Starali się dostosować do wesołych humorów myśliwych. Ci poczęli sobie urządzać kawały. Jednemu, całkowicie tysemu, kupiono w «Ruchu» grzebień. Inny kupiwszy także w «Ruchu» flakon wody kolońskiej począł opryskiwać towarzyszy. Jakże dziecinnymi wydały mi się te igraszki dorosłych wobec niedawnego naszego eksperymentu w szkole. Czym są te znikome ilości wody kolońskiej, wobec naszych strumieni, a mizerny flakonik wobec kranu i węża? Ci, którzy brali udział w jednej z ostatnich akcji «Katomy walczącej» i delikwenci, którzy na tym ucierpieli, odpowiedzą mi zapewne na to pytanie. Nie omieszczałem poinformować moich współtowarzyszy i ostatecznie ich pognać, opisując aktywność ekspedycji naszej, oryginalność pomysłu i skuteczność używanej broni. A było to tak. (Może niebezpiecznie poruszam w «Promieniu» przeszłość zbyt bliską).

Na religii poszedł rozkaz: «Akcja bojowa — woda przez nogawkę — dołączam dowód rzeczowy!»; podpisano T. U. Jurek, Funiek, Janeczek, Kobita, Łysy, Wajs, i inni... Do kartki tej przyszpilony był znaczkiem na budowę szkół powszechnych skrawek papieru z widniejącymi słowami: «Jesteś kretyńcem!». Kto miał być owym kretyńcem napewno nie wiadomo. Można jednakże sądzić, że właściwie obrażony do akcji wzywał. Na odgłos dzwonka przyczajony na pierwszej ławce Włodzio rzucił się do drzwi. Mobilizacja nastąpiła natychmiast. Zarówno nasze ofiary jak i my mieliśmy wprawę. Pomknęliśmy na dół. Kłósio został schwytany i obezwładniony na dolnym korytarzu za audytorium fizyki przez 10 par rąk i nóg. Za chwilę zjawił się J. i począł umocowywać do kranu długi, gumowy szlauch. Miejsce do egzekucji nadawało się świetnie. Był to kącik zaciszny i odosobniony. Żadne okrzyki delikwenta nie były w stanie dotrzeć do niepożądanych uszu. Wśród ogólnej radości staraliśmy się ułożyć skazańca na przypadkowo znalezionej w holu warsztacie od robót i wsadzić mu rurę w nogawkę, gdy ten w nagłym porywie rozpaczliwie zaczął strasznie szamotać się i rzucać. Jurek czynił swe dzieło, polewając nie tylko Włodzia, lecz i oprawców. W zamieszaniu, jakie wynikło, walka przeniosła się pod drzwi, wiodące na korytarz i stała się tak głośna, że aż z W. C. wychyliły się zaciekawione twarze, rezydujących tam w czasie wielkiej pauzy, palaczy. To ktośremuś z nas nasunęło błyskawiczną genialną myśl «gasić ogień!» — hasło zelektryzowało wszystkich. Stawek gorączkowo odkręcał kran — stumień strzelił pod sufit. Jurek stał we drzwiach i polewał raz od góry, raz od dołu. Szlauch napęczniał niepokojąco. Lecz strumień «gasił ogień», jak sikawka strażacka. Dusiliśmy się od śmiechu. Palacze uciekali, tulili się w kąty, chowali się za przegródkami. Woda lała się strumieniem nieprzerwanym. Mimo to jeden z palaczy miał bezczelność pokazać wesoły ogienek palącego się papierosa. To nas oburzyło. Zmieniliśmy taktykę. Gruby chwycił wąż i skierował na przeciwległą ścianę, licząc na to, że woda odbiwszy się od ściany zaleje winnych. Zamiar jego odniósł skutek natychmiastowy. Głośne okrzyki nie ustawały. Zamilkły dopiero z zagaśnięciem ostatniego papierosa. Ściany świeciły się połyskliwą rosą, sufit stał się ciemną plamą, a po podłodze płynął strumień... Poczęły przekradać się dolnym korytarzem postacie pokurczone, nasiąknięte wodą, wstrząsane paroksyzmami śmiechu...

*

*

*

Swym opowiadaniem zdruzgotałem słuchaczy — zaniechali wody kolońskiej. Obudziłem natomiast ich wspomnienia z czasów szkolnych, zasnutych mgiełką rzewną i tkliwą... Lecz komu w drogę, temu czas, auta czekają, jedziemy do Bełdowa!

Przedsmak wakacji.

Hurra, niech żyją święta! Tak wołałem przed świętami. Czterodniowe zaledwie one były, ale zawsze święta. Ale po świętach nie żałowałem, że się już skończyły, bo przez całe święta prześladował mnie pech. Taki zwykły pech, jak to często prześladowuje uczniów; umiesz lekcję, nikt cię nie pyta. Ale, gdy jest coś nie bardzo idziesz do odpowiedzi, a co dalej, to każdy wie.

Przez całe święta gnębił mnie ten pech. Gdzie ja, tam i on. Pojechałem na wieś. Dowiedziałem się, że «ktoś» wygłosi tam wielką mowę przedwyborczą. Ponieważ jestem zwolennikiem tego rodzaju wystąpień, przeto obecność moja była tam konieczna. (Chcę się zawczasu przygotować do roli przyszłego «polityka»). Postanowiłem udać się na rynek, gdzie mówca czekał na tłumy, których narazie jeszcze nie było widać. Nie chciałem się spóźnić i musiałem bieć. A pech czuwał. Jeden nieostrożny krok, poślizgnęłem się i leżę w błocie. Nie chcąc narażać się na kompromitację, zrobiłem sobie «bieg na przetań» do domu, i tu rozegrał się II-gi akt tej ponurej tragedii. A potem tylko przez okno podziwiałem, jak mówca machał rękami, jak podrzucał kapelusz do góry.

Ponieważ mój gnębiel nie tylko, że nie dał mi spokoju, lecz prześladował mnie coraz bardziej, przeto na «nadzwyczajnym» zebraniu rodziny zapadła nieodwołalna decyzja: nieznośny smarkacz zostanie natychmiast odesłany do Warszawy. I tak się stało. Całą środę «odrabiałem» lekcje.

Ale i po świętach pech uważał za obowiązek odwiedzać swego klienta. Zgubiłem więc kluczyk od szkolnej biblioteki (jestem bibliotekarzem). Moi koledzy bibliotekarze (jest ich jeszcze dwóch!) chcieli robić porządki, a tu bibliotekarz z kluczykiem (właściwie z byłym kluczykiem) «dał drapa». Zaczęła się pogoń. Uciekł.

Ale los bywa często złośliwy. Oto na ulicy spotykam jednego z bibliotekarzy. Natychmiast chciał dać mi «wycisk» na «całe życie», ale był bardzo spostrzegawczy, więc dał spokój. (Zauważył, że mam parasolkę z dużą gałką).

Zdawało się, że to koniec moich nieszczęść. Gdzie tam. Najgorsze przyszło dopiero w poniedziałek. Pan dyrektor ogłosił, że dnia 13 (pechowy dzień) odbędzie się «konferencja wywiadowcza» z rodzicami. Na to, to już trzeba być prawdziwym pechowcem.

R. R. kl. II-b.

Gąbka.

Mógł Mickiewicz opiewać, chociaż to wieszcz taki
W poemacie «Kartofla» pocziwe ziemniaki,
Mogę i ja (któż broni?), gdy ma wola szczerą,
W bohaterskim eposie prześcignąć Homera,
Odłonić tajemnicy szkolnej mały rąbek
I opisać burzliwe dzieje jednej z gąbek.
W jakimś sklepie kupiona, biedna pecha miała,
Że się do nas, na naszą tablicę dostała,
I miał zwyczajem przodków, co w długim szeregu
Leżeli lub wisieli na tablicy brzegu,
Ślicznie granat jej zdobiąc czerwonym kolorem,
Zamiast — mówię — iść dziadów, ojców swoich wzorem
Ta (bezczelna!) fruwała jak osa po klasie,
Zły pożytek czasami z nowej gąbki ma się.
Nie dość na tym, że fruwa! W tym tragedia cała,
Że wszystkie cztery ściany brudem ubabrała,
Że fruując na wszystkich pauzach nieprzerwanie,
Jednemu głowę zmoczy, pobrudzi ubranie,
A w domu potem hałas i sprzeczka rodzinna.
Takto wielu nieszczęściom jedna gąbka winna.
Któż nią bowiem nie rzucał? I nasz wójt klasowy
Wszystkim swoim kolegom poubielał głowy,
Ale sam jest niewinny. «Jakto, ja? Broń Boże!
Ależ ja nie rzucałem, panie profesorze».
I gadaj tu z filutem. Zresztą wszystko jedno,
Że bardzo wielu «rzuca», w tym jest rzeczy sedno.
I Janek gąbką ciska. Chłopiec z widokami
(A jakże! Wszak ma wąsy i świeci baczkami)
Ten pewny bezkarności coraz śmielej broi,
Bo Janka podejrzewać nigdy nie przystoi.
Cóż dziwić się Jankowi? Te niewinne psoty
Wynikają z wewnętrznej młodzieńczej pustoty,
Lecz poeta! Poeta! Prawie nie do wiary,
Ten, co w rymy próbował ujarzmić logarytm
I on, ach (muzy dajcie mi żelazne płuca)
I on, i on nie lepszy! I on także rzuca!
Lecz dajmy jemu spokój. Wszak w hardości ducha
Żaden poeta dobrej rady nie posłucha,
Każdy lepszy od innych, duchowo przewodzi
(W gruncie rzeczy cóż to nam, śmiertelnikom, szkodzi?)
Lecz dość już próżnych gawęd. Posłuchajcie. Bowiem
Smętną gąbki historię do końca opowiem.
Lekki żywot pędziła. Tablic nie ścierała,

Bo w czasie pauz zawsze gdzieś się podziewała,
 Z rąk do rąk przechodziła, nad głowy latając,
 Jak podczas polowania wystraszony zając
 Przez krwi żądnych myśliwych i zajadłe charty
 Z bezpiecznego ukrycia wśród krzaków wyparty,
 Przez krzewy i porosty nóg nie czując prawie,
 Pędzi prosto szalony, by się ukryć w trawie,
 Tak nasza gąbka w pędzie, wędrując wzdłuż klasy,
 Skacze przez głowy, brudzi sukna i atłasy
 I kształtem przypomina rozpaloną racę.
 ...A w końcu gdzieś przepadła... Requiescat in pace.
 Nawiasem mówiąc, klasa pewnie się «wygłupi»
 I dla swojej zabawy nową gąbkę kupi.
 Życzę jej (gąbce), żeby więcej szczęścia miała,
 Żeby mniej wędrowała, a więcej ścierała.

Okej.

Z OBCHODÓW.

XX-lecie Niepodległej Polski.

Nasza szkolna uroczystość z okazji XX-lecia odzyskania niepodległości była bardzo ciekawa i na poziomie poważnych akademii. Recytacje i przemówienia były dobrze przygotowane i dobrane. (Mam na myśli szczególnie przemówienie kol. Prużańskiego). Piosenki w wykonaniu chóru b. miłe, tylko orkiestra była niezbyt liczna. Obchód trwał nie długo, nie nużył i można go zaliczyć do najbardziej udanych.

Akademia w Teatrze Polskim ku czci St. Żeromskiego.

29 listopada 1938 roku minęła 13 rocznica śmierci naszego największego pisarza, realisty i liryka, Stefana Żeromskiego. Żeromski należy do tego typu pisarzy, którzy oddziałują wszędzie i na każdego.

Porusza on bowiem sprawy ogólnoludzkie — zawsze aktualne problemy Judymów i Nienaskich. Bez względu na zapatrywanie czytelnik nie może przejść obojętnie obok zagadnień, wysuwanych przez Żeromskiego, i jego dzieła właśnie mają największy wpływ na młodzież.

Uroczysta akademii w Teatrze Polskim, poświęcona została pisarzowi, którego twórczość bez żadnej przesady nazwać można rachunkiem narodowego sumienia.

Przemawiał prof. Zakrzewski, prezes R.I.O.K-u. i p. Kuncewiczowa, lauretka nagrody m. st. Warszawy.

W przemówieniu swym prof. Zakrzewski stwierdził, że najważniejszym zadaniem duchowych spadkobierców Żeromskiego jest zadzierżgnąć związek pomiędzy «wielkim słowem, ideą, myślą i pracą pisarza a rzeczywistością. Żeromski walczył o sprawiedliwość społeczną, równoznaczną ze sprawiedliwością narodową i ludzką. Ta sprawiedliwość musi w Polsce istnieć i istnieć będzie!».

Pani Kuncewiczowa zwróciła uwagę na fakt, że we wszystkich ankietach, przeprowadzonych w szkołach, Żeromski zajmuje pierwsze miejsce, jako najbardziej uznany i poczytny pisarz.

Rozwinięła również niejako tezę S. Adamczewskiego o «Sercu Nienasyconym» Żeromskiego, nazywając go «geniuszem polskiego marzenia».

W zakończeniu stwierdziła, że testament Nienaskiego i Judyma tylko w części został zrealizowany i że zrealizować koniecznie go należy.

Następnie recytował p. Kazimierz Wierzyński swój wiersz poświęcony

Żeromskiemu p.t. «Rozmowa z puszcza». Wiersz ten, bardzo piękny niezbyt dobrze wypadł, gdyż p. Wierzyński, posiadając b. niski bas, z trudnością modulując głosem nie wyzyskał lirycznych momentów swego wiersza.

Juliusz Osterwa odczytał wspaniale fragment p.t. «Pomyłki». Po kilkunastuminutowej przerwie p. Eichlerówna odczytała «Nagi Bruk» bardzo ekspresyjnie i z dużym zrozumieniem. P. Maria Modzelewska zaś — odezwę St. Żeromskiego z 1918 r. p.t. «Niech żyje ziemia spiska!».

Na zakończenie wystąpił p. Henryk Ładosz i odczytał rozdział z «Wiatru od morza» p.t. «Taniec Smętka» oraz fragment z «Róży».

Akademia odbyła się przy zupełnie wypełnionym teatrze w bardzo uroczystym nastroju. Scena udekorowana była na czarno; pośrodku na czarno-czerwonym postumencie stało popiersie pisarza.

Przemawiający byli w wieczorowych strojach. Wśród publiczności było b. dużo młodzieży. Niektóre szkoły reprezentowane były w 50%. Nie wiem dla czego z naszej szkoły było tylko dwóch uczniów. A jednak warto było pójść.

S. Kaper.

DZIAŁ RECENZJI FILMOWYCH.

„Więzienie bez krat”. Kino Atlantic.

Coraz częściej na ekranach polskich ukazują się filmy psychologiczne przeważnie francuskie. Trzeba obiektywnie stwierdzić, iż są to jedne z najlepszych filmów ostatnich czasów. Świadectwem tego są ostatnie filmy («Ludzie za mgłą» i «Więzienie bez krat»). Akcja tego ostatniego filmu obraca się wokoło życia dziewcząt zakładu poprawczego, prowadzonego z początku przez starą dewotkę (t. zw. żelazną kobietę), a następnie dzięki interwencji lekarza zakładowego, przez młodą, pełną życia i zapału dla tej pracy kobietę. Metody wychowawcze są dla nauczycielek i opiekunek zakładowych zupełnie niezrozumiałe. Starają się wykazać, ich złe strony, jednak młoda dyrektorka nie daje się zbić z tropu i pracuje niezmordowanie. Wypowiada podczas jednego z dialogów ciekawe zdanie «Niewolnicami nie są dziewczęta zakładu, ale nauczycielki». Wynikiem jej pracy jest nawrócenie pewnej dziewczyny, uważanej przez wszystkich za złą i niepoprawną. W dziewczynie tej zakochany jest lekarz zakładu, dawny narzeczony dyrektorki. Akcja miłosna jest tu przeprowadzona niezwykle delikatnie i kulturalnie. Gra artystek świetna, a dialogi mimo swej rozciągłości nie nużą. Ciekawe jest skąd twórcy filmu nabrali tyle dewotek, bo tak okropne twarze jakie mają opiekunki zakładowe, są w dzisiejszych czasach zabytkiem rzadko spotykanym.

J. L.

„Tyran” — Conrad Veidt. Kino Bałtyk.

Film ten nie ma aktorów i nie ma reżysera, nie ma konfliktów i akcji, widzowi wszystko przesłania olbrzymi cień, kamienna maska — twarz Conrada Veidta. Ta brutalnie silna, piękna pięknem drapieżnego ptaka twarz tyranizuje, ujarzmia, włada

wszystkim: akcją i miłością, życiem i śmiercią swych ludzi. Geniusz czy obłąkaniec to pytanie, które zadają sobie wszyscy i sam Keith, który topi walki wewnętrzne i chwile zwątpienia w ciągłym dążeniu dalej, w zmaganiu z ludźmi, we władzy, w czynie.

Pycha, żądza wielkości i odwaga wplątują go w kariatydę zdarzeń, które nieuchronnie prowadzą ekspedycję i jej władcę do zguby. Ale Keith jest człowiekiem który do końca boryka się z losem i walczy jak desperat. Nie uznaje słowa litość, nie umie prosić. Jego żywioł to walka... i ginie w tej walce, podstępnie zamordowany przez towarzyszy, przerażonych samą możliwością obrony. Ale nawet w godzinie śmierci jest władcą i tyranem. Ranny śmiertelnie przeraża otoczenie. Bali się go całe życie i teraz boją się jego trupa.

Jeden rys Keith'a podnosi go w naszych oczach; potrafi on poświęcić wszystko dla swej wielkiej miłości.

Pozostali aktorzy grają dobrze, ale... nikną. Doktor — jedyne człowiek, który przeciwstawia się woli Keith'a i zdobywa ostatecznie jego dziewczynę, jest sztywny, choć b. przystojny.

S. J.

„Wesoły ordynans Ignace“. Kino Imperial.

Reżyser nie wyniósł filmu na artystyczne wyżyny. Brak mu tych subtelnych ujęć, pewnej impresjonistycznej malarzkości, w ujęciu zdjęcia, oraz mistrzowskiej fragmentaryczności akcji, tak charakterystycznej dla produkcji francuskiej. Natomiast «Ignace» w interpretacji Fernandela jest pełen brzydoty i... wdzięku, z jakim układa twarz w komicznie grube fałdy. Głównym atutem filmu jest humor — «rasowy, francuski». Z licznych pikantnych sytuacji wychodzi «brzydki» Ignace oraz «ładna» reszta zespołu z elegancją pełną «Charme'u». Pogodny film pełen pięknych melodyj i dowcipnych piosenek, kryje swym humorem artystyczne niedociągnięcia reżysera.

S. J.

List od pewnego redaktora, który miał zamiar na stałe przenieść się do Wilna.

OD AUTORA:

Ku zmartwieniu Rady Pedagogicznej — uczniów państw. gimn. im. T. Czackiego zostałem w Warszawie. Najmocniej raz jeszcze przepraszam moich kolegów za sprawienie im zawodu. Wiem doskonale, że ujrzenie mnie na początku września w murach naszej szkoły było dla wszystkich przykrą niespodzianką. Dużego rozczarowania doznała redakcja «Promienia Szkolnego», która w mojej osobie chciała mieć swego pierwszego zamiejscowego korespondenta. Chcąc nieco złagodzić jej gniew na mnie postanowiłem skorzystać z czterech wolnych od nauki dni, pojechać do Wilna i stamtąd odpowiedzieć panu redaktorowi na list, którym mnie zaszczycił w czasie wakacji.

Wilno, w listopadzie 1938 r.

Kochany Władku!

Nie mam zielonego pojęcia, jak należy zabrać się do pisania listu. Wiem, że niektórzy z naszych kolegów używają do tego specjalnych podręczników. Dowiedziałem się jednak, że są w nich tylko przykłady listów erotycznych (t.zn. od osoby płci brzydkiej do osoby płci pięknej wzgl. odwrotnie). Projekt więc skorzystania z bryka od razu upadł.

Nie będę Ci, Władziu, opisywał zabytków i dzieł sztuki pięknego Wilna. Mam nadzieję, że poznałeś je już dokładnie osobiście. Postaram się więc tylko do Twych opublikowanych już w «Promieniu» spostrzeżeń dorzucić kilka szczegółów. Zacznę od jednego ze środków komunikacji miejskiej, to jest od dorożek.

Nie spodziewałem się nigdy, że nieudana w stolicy akcja «ogumiania» pojazdów konnych odbije się tak głośnym echem na kresach północno-wschodnich. W zeszłym zdaje się roku cała Warszawa oblepiana była plakatami, wykazującymi dobitnie, jak wielkie zniszczenie sięją żelazne obręcze wozów. Zapamiętałem sobie z nich (jako osoba nie posiadająca bezpośredniej z tym zagadnieniem styczności) tylko jedno: że za pieniądze wydane na naprawę asfaltów i szyn tramwajowych możnaby doprowadzić do porządku i uregulować całą ulicę Górczewską. Pamiętam, że czytając to, byłem wzruszony. Zapewne tak samo podzielał tu afisz na Zarząd m. Wilna, skoro wszystkie dorożki w tym mieście są «ogumione». Nie wiem tylko czy zapomniano, że w grodzie mickiewiczowskim są same «kocie łby» i niema ani jednego tramwaju, czy też zarządzenie to było owocem dalekowzrocznej polityki (jeśli będzie kiedyś osfalt i będą tramwaje, to nie trzeba będzie wydawać pieniędzy na ciągłe reperowanie jezdni). Takie to głębokie problemy zastanawiały mnie ilekroć razy jechałem wileńską «sałatą».

Z rodowitych wilnianek w młodym wieku miałem przyjemność poznać tylko jedną. Nazywała się Nuna. Piękne imię prawda? Cały wdzięk tej osoby zawierał się w jej imieniu (niestety tylko w imieniu). Poza tym była nudna, jak każda przeciętna uczennica gimnazjów czy liceów warszawskich. Nie można więc poświęcać jej więcej miejsca w naszym tak ciekawym i interesującym piśmku. Stracilibyśmy jeszcze czytelników, a Zjednoczenie Koleżeńskie musiałoby pokrywać deficyt. Nieprzyjemności mielibyśmy moc. I pomyśl. Wszystko przez taką Nunę z Wilna. W ogóle te kobiety... Ilu to naszych kolegów «padło» przez nie na maturach, ilu poszło na «zieloną trawkę», ilu do klasztorów! One są sprawczyniami wszystkiego złego na świecie. Przychodzi mi w tej chwili na myśl przysłowie: gdzie diabeł nie może... itd.

Radzę Ci więc Władku trzymaj się od nich zdaleka. Strzeż się ich aż do zdania matury (jeśli nie potrafisz dłużej). Pilnuj się zwłaszcza w dniu wolne od nauki, bo wtedy podobno

najłatwiej można się zakochać. Te cztery dni, z których jeden został nam gratisowo ofiarowany przez naszą władzę poświęć pracy.

Życzę Ci więc z góry wspaniałych jej owoców. Tymczasem żegnaj Cię, do zobaczenia w klasie.

Tosiek M.

Wielki konkurs literacki «Promienia Szkolnego».

Brać w nim mogą udział wszyscy uczniowie gimnazjum i liceum Im. Tadeusza Czackiego.

Należy tylko podać dzieła autorów, określić miejsca, z których dane urywki zostały wybrane i odpowiedzi złożyć w Redakcji do dnia 20-XII. Dodajemy, że wszystkie urywki są z dzieł autorów polskich.

Bierzcie wszyscy udział w konkursie!
Następujące wspaniałe nagrody na was czekają!

Nagroda I : Podróż do Włoch

„ **II : Samochód**

„ **III : książka Z. Kossak «Król Trędowaty»**

„ **IV : książka Wierzyńskiego «Wiersze zebrane»**

„ **V — IX : 5 prenumerat rocznych «Promienia Szkolnego».**

1.

Strzały świszczą, syczącą chmurą spowijające głowy, nie są zbyt straszne, byle oczy dobrze słońc, groźne dla sług, odskakują od pancerzy panów.

W ręcznym spotkaniu twarzą w twarz Latyncy mają przewagę dzięki swej strasznej sile. I stojąc nieruchomo w miejscu, walczą jakby w natchnieniu, uniesieniu. Rąbią niby drwale.

Dziwni drwale, co nie posuwają się naprzód, jeno las sam podchodzi ku nim coraz nowym nieprzebytym gąszczem. Zasięki zwalonych ciał rosną.

2.

Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmięły ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów, zlały się w jeden przekropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko oślepie z przerażenia konie, bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziką grzywą.

3.

Husaria już rozpuściła konie, Boże, co za impet! Wpadli w dym... znikli!... Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił jakby w tysiącu kuźni kowale młotami bili. Spójrzmy? Jezus, Maria! Elektorscy mostem już leżą, jak żyto przez które burza przejeżdża.

dzie, a oni hen-za nimi! jeno proporce migają! Idą na Szwedów! Uderzyli o rajtarię — rajtaria mostem! uderzyli na drugi regiment — mostem! Tu huk, armaty grzmią... widzimy ich, gdy wiatr dymy zwieje. Łamią piechotę szwedzką...

Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jak gdyby ulicą... bezmała przez całą armię już przeszli.

4.

... zginął! Tuż za bramą Bab-el-Nasr... Napadnięty przez całą ludność przodmieścia, bronił się z szablą w dłoni. Koń jego poślizgnął się na miękkiej ziemi... Upadł. Pchnięty lancą... runął na ziemię. Wówczas!... Rzuciła się na niego tłuszcza. Rozbili mu głowę głazami, ciało rąbali siekierą, darli ostrzem nożów, roznieśli go na szablach... Został z niego tylko strzęp munduru. Niesie go wierny żołnierz...

5.

Szwadron przesadził rzeczkę, w połowie zasypaną ciałami poległych, a w połowie chrustem i wpadł w wąwóz. Bateria hiszpańska ustawiona na pierwszym jego zakręcie zygnęła gradem kul...

Szwoleżerowie wpadli na kanonierów hiszpańskich zanim ci poraz drugi zdążyli podłożyć lonty.

Walka była krótka. Ciała hiszpanów leżały na lawetach. Szwadron pędził dalej...

6.

Z rozwartych jam w rozpękłych ścianach wypadały coraz to nowe szeregi wystrojonych świętecznie; rzucały się na napastników ze ślepym męstwem. Zamordowano ich bagnetem i zepchnięto do wspólnego z tamtymi grobu. Piechota polska wtargnęła w wyłomy klasztoru. Depcząc ranionych i konających, biegnąc po gzymsach, obok piwnic pełnych konania zbroczeni krwią, w poszarpanych ubraniach z lufami lepkimi i ociekającymi, chyżo wpadli na pierwszy plac.

7.

Legia ruszyła z bagnetami pochylonymi. Ruszyła na gruzy i mury. Saragossa pluła żelazem. Pułki szły. Nic nie zdołało powstrzymać, nic strwożyć! Za krok każdy, za każdą piędź ziemi, krwawy składały haracz.

Działa hiszpańskie raziły coraz gwałtowniej. Stojący na murach i watach Hiszpanie już ręcznym ogniem sięgali. Bębny warknęły zajadlej. Piechota kłusem uderzyła na przekopy i resztki zburzonego klasztoru.

8.

Tam granat w sam środek kolumny się nurza, jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza; pęka śród dymu granat, szyk pod niebo leci i ogromna łysina śród kolumny świeci.

9.

Ktoś krzyknął «naprzód» i — nie wiem z ilu piersi wybuchnął krzyk podobny do jęku, albo do wycia. Kolumna węgierska poruszyła się z wolna, prędzej, biegiem... Strzały prawie ucichły i odzywały się tylko pojedynczo... Z impetem uderzyłem o coś piersiami, pchano się na mnie ze wszystkich stron, pchałem się i ja...

...Nareszcie zrobiło się tak ciasno, że zaczęła mi się giąć klatka piersiowa i uczułem brak tchu. Uniesiono mnie do góry, opuszczono, a wtedy poznałem, że nie stoję na ziemi, ale na człowieku, który jeszcze pochwycił mnie za nogę. W tej chwili wrzeszczący tłum posunął się naprzód, a ja upadłem. Lewa ręka poślizgnęła mi się we krwi...

10.

Już od godziny kule stukały głucho w kłodę bukową, za którą leżał pułkownik wraz z trzema towarzyszami. Gwizdały im i śpiewały śmiertelnie koło uszu, szły górą, grając, a najczęściej wlepiały się w kłodę, która odpowiadała posłusznie za każdym razem, jakby liczyła wystrzały. Przelatujących kul nikt by nie zliczył. Walili do nich całe dwie rotę, gdyż na polanie bitwa była już skończona. Wybici byli wszyscy co do nogi, ranni byli już dawno podobiani i obrabowani ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość dla żołdatów.

11.

Walczyliśmy już teraz prawie wyłącznie z frontem na południe. Chłopczy leżeli długą rzadką linią na wale, równoległe do drogi, którą cofaliśmy się. Wzdłuż nad nim raz po raz pękały szrapnele. Z lasu naprzeciw nich wypadały od czasu do czasu łańcuchy tyralierskie, ogień nasz się wzmagał i zatrzymywał atakujących. Najbliżej Moskale podeszli w najbardziej na wschód wysuniętej części frontu niedaleko od Marcinkowic.

12.

Nie podniesie się miecz bez naprężenia ramienia. Tarcza nie osłoni głowy przed ostrym dziirytem, jeżeli jej szybko lewa ręka nie przerzuci i nie wzniesie. Ani czekanie rozwali czaszkę przeciwnika, bez przegięcia całego tułowia i głębokiego wydechu.

Ciągła praca wszystkich mięśni, ciągły wysiłek woli, przytomności, bystrości, uwagi. Na tem polega przecudowna gra rycerska, tak namiętnie ulubiona, męska radość celnych sztychów, piorunowych cięć, młyńców chroniących głowę świetlistą obręczą.

«Silna flota — bezpieczny polski dom — Dajmy z serca grosz ofiarny na F.O.M.».

Wydawcy: Uczniowie Gimnazjum Im. T. Czackiego.

Redakcja: Władysław Stankiewicz kl. II liceum i Jan Brumer kl. IV.

Komitet redakcyjny: J. Krzymuski kl. II liceum, J. Lewandowski kl. II liceum,
A. Trzebiński kl. I liceum, A. Tyrawski kl. IV.

Administracja: Sz. Kaper kl. II liceum, B. Chodorowski kl. III.

Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Kapucyńska 21.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37.

